

Psie neminem captivabimus [FELIETON]

Skoro prowincja jest politycznym zapleczem rządzących konserwatystów, to zazielenienie się polskiego konserwatyizmu jest w jakimś sensie jego moralną powinnością. Jest spłaceniem długu wyborczego zaciągniętego u wiejskiego elektoratu, którego jakość życia coraz bardziej oddala się od hołdujących postępowi bogatych aglomeracji – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Przyznaję, że od dawna zdumiewa mnie karykaturalny sposób, w jaki polscy konserwatyści dokonują absorpcji pewnych idei ultra-modernistycznych. Nie mam – rzecz jasna – nic przeciw ożywianiu i kolorowaniu tradycyjnego podejścia do świata za pomocą postępowych idei, zwłaszcza gdy moc i witalność owych idei bierze się z rozpoznania twardych realiów otaczającej nas współczesności. Tak jest na przykład z ekologią. W realiach, w których przez pół roku w tysiącach polskich wiosek i miasteczek nie daje się prawie oddychać, a setki ton zgniecionych plastikowych butelek, torebek i puszek, nigdy nie usuwanych z poboczy gminnych dróg, tworzą nowy quasi-sycylijski krajobraz polskiej prowincji, nawet jakiś de Maistre, gdyby żył, to musiałby zostać ekologiem. Wiem co mówię, bo od paru lat żyję na wsi prawdziwie zabitej dechami, oddalonej od metropolii, gdzie nie dotarło nawet cywilizacyjne dobrodziejstwo kanalizacji, więc gleba jest wokół zatruta przez fekalia, wolno spływające poprzez otwarte dna szamb sąsiadów. Nie mam wątpliwości, że skoro taka właśnie prowincja jest politycznym zapleczem rządzących konserwatystów, to zazielenienie

się polskiego konserwatyzmu jest w jakimś sensie jego moralną powinnością. Albo ujmując rzecz w kategoriach bardziej politycznych – jest spłaceniem długu wyborczego zaciągniętego u wiejskiego elektoratu, którego jakość życia coraz bardziej oddala się od hołdujących postępowi bogatych aglomeracji. Skądinąd zupełnie wbrew temu, co zwykła sobie na ten temat myśleć wielkowiejska publiczność, mająca z reguły zmitologizowane wyobrażenia na temat życia na prowincji.

Nic dziwnego zatem, że z takim poglądem życzliwie (by nie rzec – entuzjastycznie) przypatruję się modnemu w Europie trendowi do politycznego mariażu konserwatyzmu z zielenią, nazwanego już przez media „Greencons”. Zarówno w niemiecko-francuskiej wersji „soft”, w której rządząca liberalna prawica perfidnie podkrada swym politycznym przeciwnikom rozmaite zielone idee. Jak i jeszcze bardziej w austriacko-irlandzkiej wersji „hard”, gdzie twardzi konserwatyści odwracają dotychczasowe sojusze i biorą do koalicji partie radykalnie zielone. Jeszcze parę lat temu coś takiego byłoby traktowane jak polityczna egzotyka. Dziś już nie. A nawet coraz częściej formułowana jest opinia (np. na łamach trendotwórczego „Economista”), iż polityczne małżeństwo z rozsądku konserwatystów i zielonych, kto wie, czy nie jest najlepszym rozwiązaniem dla pleniących się w Europie kłopotów z kleczeniem jako tako trwałych większości parlamentarnych. Zatem bardzo by mi się podobała również polska wizja zieleniejącego PiS-u, nie tylko z racji ożywienia, odmłodzenia i pokolorowania nieco naftalinowego politycznego konserwatyzmu w Polsce. Ale także, a może przede wszystkim dlatego, że widziałbym w niej nadzieję na przewyciężanie brudu, zatrucia i skażenia przestrzeni publicznej na polskiej prowincji, co tak wyzywająco kontrastuje dziś z zadbanyimi na niemiecki sposób wiejskimi prywatnymi domami i zagrodami.

*Bardzo by mi się podobała
wizja zieleniejącego PiS-u, nie
tylko z racji ożywienia,
odmłodzenia i pokolorowania
nieco naftalinowego
politycznego konserwatyzmu
w Polsce*

I oto na początku września z kwatery głównej PiS-u przy Nowogrodzkiej wychodzi w końcu zielona inicjatywa. I to wychodzi z przytupem, bo poprzedzona niemal rewolucyjną (jak na

sytuację konserwatystów w dzisiejszej Polsce) deklaracją dyrektora biura samego przywódcy, iż z perspektywy polskich konserwatystów toczący się dotąd gwałtowny spór o kulturę i obyczaje schodzi na dalszy plan, zaś priorytetowa teraz będzie „ekologia, ochrona zwierząt i przemoc w rodzinie”. Czego zatem dotyczy nowa inicjatywa? Praw zwierząt, ewidentnie budowanych wedle teoretycznego wzoru praw człowieka. Co prawda największe poruszenie wzbudza planowany zakaz hodowli zwierząt futerkowych (nic dziwnego, bo idzie tu o spore pieniądze), ale moją uwagę przykuł inny przepis, bezpośrednio dotyczący stylu życia prowincji, na której żyję. Czy chodzi o projekt oczyszczenia poboczy dróg gminnych, strumyków i zagajników z setek ton plastikowych śmieci, albo może o wielki ekologiczny program rewitalizacji zatrutej gleby i powietrza? Bynajmniej. Okazuje się, że głównym ekologicznym problemem wsi nurtującym przywództwo polskich konserwatystów jest... spuszczenie z łańcuchów wiejskich psów. Więc polska wersja zielonego konserwatyzmu na wsi ma polegać na psim „neminem captivabimus”, czyli przywileju tak samo sławnym, jak ten, który przed wiekami król Jagiełło nadał szlachcie.

We wsi gdzie mieszkam psy na łańcuchach trzymają wszyscy, za wyjątkiem mnie. Jednego, a zwykle nawet kilka. Są to zazwyczaj mało przyjazne brytany, szczerzące kły i warczące na każdego przechodnia, bo po to właśnie są trzymane i hodowane. Sarkastycznie pomyślałem, że dobrze by było, aby to sam przywódca polskich konserwatystów, wraz ze swoim młodym ekologicznym dyrektorem, po uchwaleniu ustawy przybyli do mojej wsi, aby osobiście uwalniać z łańcuchów owe warczące brytany. Ale cała rzecz jest w gruncie rzeczy dość mało zabawna. Po pierwsze dlatego, że obrazuje kompletne oderwanie ludzi z Nowogrodzkiej od realnego życia na prowincji, którą dziś z silnym mandatem politycznie reprezentują. Ale istotniejszy i bardziej ponury jest drugi powód. Jest nim właśnie owa pokraczność, czy też karykaturalność, z jaką polski konserwatyzm absorbuje idee nowoczesności. Jeśli już to czyni, to przyswaja idee najskrajniejsze, z arsenału ekologicznych ekstremistów, którym marzy się taka przebudowa politycznego świata, aby prawa ludzi i zwierząt stanowiły jedno. W kwestii psów łańcuchowych nie chodzi bowiem bynajmniej o łagodność czy dobre serce dla zwierząt. Chodzi o prawo psów do wolności, której zły człowiek ich pozbawia. A więc dokładnie o to, o czym świetna filozof Chantal Delsol mówiła w gościnnym wykładzie na Uniwersytecie Jagiellońskim, piętnując ekstremistyczny nurt współczesnej myśli, zwany czasem „głęboką ekologią”. Jej zdaniem – to rujnująca świat ideologia, zakładająca, że człowiek i zwierzę to w gruncie rzeczy to samo. Takie myślenie Delsol uważa za nieświadomą „profanację człowieczeństwa” i poważne zagrożenie dla naszego świata.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”